Rozmaitości

Dnia 6. Marca — Nr. 10. — Roku 1841.

MODLITWA
CIEMNEGO.

Mówią że ranek, że słońce wschodzi,
Że w promienistéj powodzi
Morze jasności się rodzi!....
Oni to widzą, oni to czują,
W Twoje się dzieło wpatrują,
Światła dziedzice!

Zwą Ciebie ojcem, o Panie!
Mówią że słów im nie stanie
Na tyle dziwów, tyle dobroci,
O Boże!
Oni je widzą, te ranne zorze,
Widzą to słońce, które je złoci
Blaskiem Twéj mocy!........

Czemuż, o Panie,
W przepaściach nocy
Dałeś mi czarne mieszkanie,
Powlokłeś kirem moje źrenice,
A na méj twarzy
Stawiłeś ciemność na straży,
Wziąłeś mi światło, o Panie?!........

Dziś ciemny,
Mamże się żalić nikczemny,
Oskarżać Ciebie, o Panie?
Kiedyś mi wskazał bramę żywota:
W promiennym blasku jutrzenka złota
Wybiegła z nocy na me spotkanie,
Ona mię wiodła ku Tobie!

Widziałem świat Twój, o Panie!
Widziałem piękność Twojéj przyrody;
W połyskach gromu, w szacie pogody,
Widziałem moc Twą, o Panie!
Oblicze słońca w dziennem krążeniu,
Błyszczące gwiazdy w nocném milczeniu,
Wszystko mię wiodło ku Tobie!

Lecz pośród świateł tysiąca,
W błyszczącym gwiazd oceanie,
Jam Twéj nie doiekł istoty;
Jam Cię nie widział tyle, o Panie,
Ile Cię widzę w téj smutnéj chwili,
Kiedy me oko próżno się sili
Wybrnąć z ciemnoty!......

Chwała Ci, Panie!
Chwała bez końca!
Bo czémże słońca, gwiazdy na niebie,
Ziemia i ludzie, czémże są, Panie,
Bez Ciebie?

J. Zakrzewski.

A L I B I.
WYPADEK KRYMINALNY.
PRZEZ
EDWARDA SILESIUSZA.

(Dokończenie.)

Wzdłuż wybrzeża, na ulicy ku staremu miastu, widać nieprzejrzany szereg najświetniejszych powozów, jeden za drugim, szybkim pędem goniących. Tak trwało dzień po dniu przez dni cztéry; przez dni cztéry nie pojawił się żaden powóz na szérokim, pięknym gościńcu ku *Posilippo* i w *Strada nuova,* a jednak tą razą nie byłoto święto uroczyste, tylko li światowe widowisko. Szło tu o życie lub śmierć jednego z wysoko urodzonych. Olbrzymie szale starożytnéj *Temidy*, ważyły się okropnie jedna przeciw drugiéj; w jednéj szali leżał potężny wpływ osobisty i familijny, w drugiéj ważyła ciężka i krwawa zbrodnia. Jednych wiodła sama tylko ciekawość, drugich zaś

ważność sprawy lub przychylność i przywiązanie do osoby, co sprawiło, że natłok był niesłychany, gdyż dzień dzisiejszy miał rozwiązać zagadkę, która w dniach poprzednich gordyjskim węzłem się stała. Dzisiaj miał sąd wydać wyrok na wielkiego zbrodniarza, księcia San G***, którego — jak to sobie szeptał lud w masie do sali zebrany — o podwójne zabójstwo obwiniono.

Stoimy znowu przed straszliwą bramą w *Vicaria.* W tém miejscu świetne powozy jeden za drugim wypróżniają się z przywiezionych osób. Aby obecnemi były niesłychanéj scenie, wysiadają z nich najznakomitsze i najwytworniéj wystrojone damy, a każda z nich ogląda się i szuka sobie pośród orszaku czarno ubranych rzeczników, jakiego *Cavaliero servante.*

»Dziwi mnie to, że mój grzeczny przyjaciel Satalari nie czeka na mnie u bramy«, mówi jedna z dam najznakomitszych. »*Vicaria* jestto prawdziwy błędnik, w którym bez przewodnika ani wnijścia ani wychodu znaleźć nie można.«

»Rzecznika tego«, odzywa się druga »należy zapozwać przed sąd miłości, by się usprawiedliwił z ubliżenia płci pięknéj. Ciekawa jestem, z jakim on talentem przed tym trybunałem w swéj własnéj sprawie stanąć zdoła.«

»Że się obroni, o tém ani wątpić«, dodała trzecia z uśmiechem, »zważywszy, jakie on właśnie w téj chwili *Alibi* udowodnić zamyśla. Niech tylko do siebie zastosuje ten dowód, który wczoraj w obronę naszego zacnego księcia przytoczył: iż to jest oczywistém niepodobieństwem, aby się jeden i tenże sam człowiek w jednym czasie na dwóch różnych znajdował miejscach; a że on bez wątpienia z jakąś szczęśliwszą, przed nami przybyłą damą, już jest w sądowéj sali, nie można więc wymagać, aby téjże samej chwili dla przyjęcia naszego stał przed bramą.«

»Kochana hrabina«, rzekła czwarta z uśmiechem, »ujmuje się za panem Satalari prawdziwie po prawniczemu. Jakoż widząc go tam z dworską miną i w dobrym humorze z rzecznikami przechadzającego się, nie omieszkam mu oświadczyć, aby was panie moje jako swych kolegów powitał.«

Tak pustym żartom oddawały się te znakomite i dumne panie w surowym sądzie, od którego śmierć lub życie zawisły; rzekłbyś, że się bawią w teatrze *San C[illegible]o*, i że rozwiązania ostatniego aktu czek[illegible] Podawały się ony tém większéj wesoło[illegible]ileże wypadało łez szczędzić na przypad[illegible] gdyby się ta sprawa traicznie zakończyć miała. Z tém wszystkiém na uniewinnienie ich wyznać potrzeba, że takiego wypadku wcale się nie spodziéwały; a gdyby nawet tok procesu w dniach poprzednich, był w nich jaką wątpliwość w téj mierze obudził, jużby pyszna postawa Satalarego, i radością spromieniony, tryjumfujący uśmiéch jego, którym teraz swoje łaskawczynie powitał, dostatecznémi były do usunięcia wszelkiéj obawy, i przekonania ich, że sędziowie na tę sprawę z jednego z nim stanowiska zapatrywać się będą.

»Chciéjcie łaskawe panie przebaczyć«, rzekł z grzecznem uniewinnieniem się, »lecz chodziło tu dla księżnéj V*** miejsce zabezpieczyć. Teraz proszę spieszno iść za mną. Nacisk jest niesłychany, trudno będzie miejsce znaleźć. Na wszelki przypadek wypada nam pójść przez skryte drzwi poboczne.«

»Wiedziałam o tém bardzo dobrze, że tu bez nitki Aryjadny obejść się niepodobna«, odrzekła księżna podając piękną rączkę usługującemu z dumą Satalaremu.

Sala sądowa ma w sobie zawsze coś trwożliwego i uszanowanie nakazującego, zwłaszcza, gdy wiémy, iż śmierć lub życie obwinionego — jak miecz na włosku — od kilku słów zawisły, które z ust sędziego wyjdą. Sąd zajął miejsce. W ogromnéj, przepełnionéj sali, panowała tak uroczysta cisza, iżby każde mocniejsze tchnienie słyszeć było. można. — Wprowadzono obwinionego. Tysiące ócz wlepiło ciekawy wzrok w jego twarz bladą — była ona bledszą niż przedtém, — bledszą nawet niż wczoraj. — Może śmiertelna bladość jego taką się tylko wydaje, że mocno odbija od opalonych i powietrzem oczerniałych twarzy gwardzistów, którzy go otaczają? Nie, nie! — Widocznie jest zmieniony od wczoraj. Mimowolnie trzyma się przed sobą poręczy, jak gdyby chciał nietylko powierzchowną postać swoję,

ale i wewnętrznego ducha swego, od upadku zabezpieczyć; od czasu do czasu toczy on osłupiałém, głęboko wklęsłém okiem swojém po zgromadzeniu, a potém go martwo i przeraźliwie wjeden przedmiot wlepia. W każdém poprzedniczém badaniu był zupełnie spokojny; cokolwiekbądź działo się w duszy jego, wszelako powierzchowne zachowanie się jego było pewne i niezmienne; za wnijściem do sali witał swoich krewnych, przyjaciół, a przy każdém przytoczoném zdaniu popierającém jego sprawę, okazywał żywy udział uprzejmém skinieniem głowy. Dzisiaj zmienił swoje postępowanie, dzisiaj nie widzi już tylko jeden przedmiot, widzi straszliwą kartę, która przed sędzią leży i los jego ma rozstrzygnąć.

Spostrzegł to Satalari, że w dostojnym jego klijencie widoczna zaszła zmiana, lecz się domyśléć nie może, co do niéj powodem.

Gdy sam był tak pewnym pomyślnego wypadku sprawy, dla czegoż klijent jego jest niespokojny?

Prokurator sądu nakazał milczenie, ale dla formalności tylko, gdyż grobowa cisza panowała już dawno w sali. Prezes sądu powstał wraz z asesorami, i czytał wyrok: »W imieniu najwyższego w *Vicaria* zgromadzonego trybunału!«

»Z aktów okazuje się, że Lorenzo Teobalde Leone, książę San G*** wziętym był przed dwoma laty w *Terracynie*, i że od tego czasu w więzieniu tutejszego sądu zostawał.«

»Sąd najwyższy wziął pod ścisłą rozwagę wniesione przeciw obżałowanemu zaskarzenie, mianowicie obwinienie o popełnione dwa zabójstwa: jedno na osobie Giannetty Sorazza w *Piazza del Mercato*, drugie w *Strada di Toleda* na osobie kalabryjskiego włościanina Zampagnara.«

»Zważywszy, że przy żadném z obudwoch zabójstw nie schwytano złoczyńcy bezpośrednio, przeto bezstronni sędziowie wzięli sobie za powinność zwrócić swą uwagę jak najsumienniéj na tę sprawę, a to z powodu, iż tu widoczna tożsamość w osobie sprawcy zachodzi.«

»Zważywszy więc, że wszystkie świadectwa, jakkolwiek z resztą się różniące, w téj okoliczności się zgadzają: że obadwa zabójstwa jedna i taż sama popełniła osoba; zważywszy tudzież, że stojący tu przed sądem obżałowany, bezprzecznie w ciągu dwóch lat ostatnich z murów *Vicaria* się nie oddalał, a więc być może, że ostatniego w *Strada di Toledo*, w wiliję Bożego Narodzenia zdarzonego zabójstwa nie popełnił; zważywszy nakoniec, że chociaż obżałowany nadzwyczajnie i prawie nierozpoznalnie do rzeczywistego zabójcy jest podobny, a przecież na ten piérwszy przypadek, niezbite wykazano *Alibi*, które podług wszelkiego zdrowego wniosku i do drugiego przypadku przytoczyć i zastósować wypada; zważywszy to wszystko, uznaje najwyższy sąd obżałowanego księcia San G*** za zupełnie niewinnego, znosi wszelkie przeciwko niemu zaniesione zaskarzenia i oraz nakazuje, aby tenże natychmiast na wolność był puszczony.«

Tu nastąpiła chwila milczenia. Sędziowie i straże cofają się od obżałowanego; krewni, przyjaciele, słudzy księcia i wszyscy obecni cisną się do niego z okazaniem swojéj radości, wszyscy mu życzą szczęścia do odzyskanéj wolności.

Sam tylko w tym wypadku największy udział mający, od kary uwolniony złoczyńca, za niewinnego uznany książę, patrzy na to wszystko osłupiałym, ponurym wzrokiem; na bladéj twarzy jego nie widać, aby o tém myślił lub zważał na to, co się wokoło niego dzieje.

Piekielny talent Satałarego odniósł zwycięztwo. Jasne, niezaprzeczone *Alibi*, ze wszystkiémi z niego wyprowadzonémi wnioskami, skłoniło sędziów, którzy prócz tego księciu sprzyjali, do rozstrzygnienia sprawy na korzyść jego, i jedno-głośnie obżałowanego niewinnym być uznali. Atoli Sędzia w niebiesiech, wyższy nad wszelkie ludzkie subtelności, nie potwierdził tego ziemskiego wyroku, i całkiem był inny tu na ziemi, a inny tam nad nami!

Satalari nabył przez ten przebieg znaczenia i bogactw, ale nigdy już nie był wesół przez całe życie swoje! W krótkim czasie tknięty nagle apopleksyją, stanął przed najwyższym Sędzią dla obrony swoich własnych, tu na ziemi popełnionych nieprawości, a najokropniejszą z tych wszystkich

wyznał z żalem i skruchą w ostatniéj chwili swego życia przed obecnymi, którzy go otaczali. Uciekający z więzienia złodziéj, wkradł się do Cateniego w chwili, gdy tenże upojony najwyborniejszém winem, jak źwiérzę bez pamięci w kącie swéj izdebki leżał, zabrał mu nietylko najnowsze krwią Zampagnara opłacone dukaty, ale i do jednego szeląga wszystkie przez kilkadziesiąt lat nagromadzone pieniądze. Stary skąpiec odzyskawszy przytomność, rzucił się z jękiem w morze, które w dni kilka potém, od żarłocznych stworzeń obgryziony z ciała szkielet jego na ląd wyrzuciło.

Książę San G*** zaczął już odtąd cierpiéć pomieszanie zmysłów. Żadna przyjemna chwila nie osłodziła mu już długiego i nędznego życia, które uwalniając karzącą sprawiedliwość od wykonania surowéj powinności, codziennie mu w duszy jego gadało:

»Nieszczęsny, uchodź z tąd! Tam jest sędzia twój!«

KSIĄŻĘ JOINVILLE
U GROBU NAPOLEONA.
PRZEZ KSIĘDZA FELIKSA COQUEREAU.*)

.... Opuściliśmy *Plantation-House* i udaliśmy się ku *Longwood*, gdzieśmy po dwóch godzinach na stroma skałę wdziérając lub spuszczając się, nareszcie stanęli.

Widok, jaki nam wyspa stawiła, był wszędzie jednakowy; tylko na spadzistości kilku wzgórzów widać było niejaką roślinność; gdyby nie duszący upał w rozłęgach, a prawie ostra zima na górach, możnaby pogodę dosyć piękną nazwać. Przodem jechał bohatérskiéj postaci książę, za nim kapitan Aleksander, piérwszy sądowy urzędnik, komendant placu i naczelnik batalijonu; resztę orszaku składali Francuzi.

Od czasu do czasu widzieliśmy oficerów przybywających konno w pełnym galopie; przynosili oni lub odbiérali rozkazy, i znowu tak szybko wracali. Ścigaliśmy ich wzrokiem; ale oni, to nam na jakim zakręcie drogi nagle z oczu znikali, to na szczycie jakiéj spiczastéj skały znowu się jawili. Ileżto razy takowi w czerwonych mundurach gońce, to w gęstéj mgle dolin znikając, to znowu się z ponurych jodeł jawiąc, nie wydawali się cesarzowi jak złowrogie duchy téj bezludnéj pustyni!

Zgraja mniéj więcéj galganami okrytych chłopców, biegła nieustannie za nami; wyobrazić sobie można, że podobny poczet orszaku nie dodawał blasku naszéj okazałości; z tém wszystkiém obecność ich była nam niekiedy potrzebną. Otwiérali oni rogatki, któremi, co angielska mila, droga była zamknięta. Tu była wyznaczona meta wycieczek męża, który niegdyś między Walladolidem i Burgos 35 *lieues* w siedmiu godzinach przegonił! Droga szła spadzistą pochyłością wzdłuż na dół; nagle poszła w zakręt. W głębi, cokolwiek na prawo, na dosyć obszérnéj płaszczyźnie, rozciągała się ogromna, naga skała, pełna rozpadlin i wądołów. Ani drzewa, ani rośliny, co większa ani wrzosu, téj biédnéj siéroty gór jałowych, nie ujrzałeś na tych urwiskach. Od morza, które myło jéj podnóże, wywieszała się ona w około przepaści, którą drugi, cokolwiek niższych skał szerég, zupełnie zamykał. Na płaszczyźnie bliżéj przed nami, zwaliny wyższych warstw ziemi, dozwoliły mieszkańcom pozasadzać gdzie niegdzie smutne północnego nieba drzewa. Tu się rozwijał wąwoz w szérszą dolinę, tu nawet rozległych konarów dęby zapuściły swe korzenie; z téj górzystéj płaszczyzny ujrzeliśmy w dali śród mgły jakiś wystający, lichy budynek: budynek ten nazywał się *Longwood*, a dolina wysokiémi dębami ocieniona, kryła zwłoki Napoleona.

Zostawiwszy na prawéj stronie drogę do *Longwood*, zwróciliśmy się wprost ku dolinie. Nie widzę tu potrzeby namieniać, żeśmy jechali zwolna, krok za krokiem, cicho i uroczyście, zgodnie z naszém wewnętrznem usposobieniem; spojrzenia i myśli nasze pragnęły tylko wejść w głębokość doliny; byłato ciekawość, którą łatwo pojąć. Wszakże jedynie dla oglądania grobu przebyliśmy Ocean!

Niebawem musieliśmy się wraz zwrócić w prawo, na ścieżkę prowadzącą w dolinę. Jeszcze dosyć daleko od celu, wstrzymał się książę i zsiadł z konia; poszliśmy bez zwłoki za jego przykładem, a za kilka minut już wszystkie głowy były odkryte; spostrzegliśmy kratę, nagrobek i wiérzbę płaczącą.

O kilka chwil później, jużeśmy byli wewnątrz zagrody spoczynku; stopy nasze dotykały się ziemi, na któréjby zaiste słusznie wyryć można te słowa:

Sta viator, heroem calcas! *)

*) Duchowny ten, jako kapelan okrętowy na fregacie *Belle-Poule*, odbył podróż na wyspę Świętéj Heleny i ogłosił niedawno drukiem obszerne doniesienie o wypadkach w nadmienionéj wyprawie; z tegoż pisma ten ułamek wyjęty.

*) Stań przechodniu, depcesz bohatera!

Piérwszym moim czynem było rzucić się na kolana i modlić się za człowieka, którego Bóg w podwójném szczęściu tak wielkim uczynił. Może od dawna już nie brzmiała nad jego grobem modlitwa, jakkolwiek wielki był poczet pielgrzymów, którzy ten spoczynek zwiédzali; wielu z nich myślało tylko o bohatérze, mało kto o Chrześcijaninie. Po modlitwie podniosłem się z ziemi i przez niejaki czas wszyscyśmy stali w około kraty bez poruszenia, pogrążeni w niemém zamyśleniu. Jakże ważne nauki dla każdego z nas, jakby głos z tamtego świata, odzywały się z tego grobu!

Zamknięty trzema głazowemi płytami grób, mało co wznosił się nad ziemię; tworzył on podłużny czworokąt. Żelazna krata, któréj sztaby ostro się zakończały, otaczała cały ten obwód. Przestrzeń zostająca między płytami a kratą, zapełniały grzadeczki roślinami: niezapominajkami i kilka geranijami, które hrabina Bertrand własną ręką posadziła. Kilka wiérzb ze strony wejścia, z których najbliższa gałęzie swe na kratę zwiesiła, płakało nad grobem; po drugiéj stronie pokrywał ziemię pień uschłéj już wiérzby; widziała ona, jak do grobu spuszczano trunnę Napoleona, w kilka lat późniéj obaliła się, lecz Anglicy szanowali tego zgrzybiałego świadka pogrzebu. Po niektórych miejscach rosły także modrzewie, których czarne pnie od zielonéj murawy sprzecznie odbijały.

Cyprysy obwodziły wieńcem tę uświęconą przestrzeń, a drewniana krata trzy stopy wysokości mająca, opasywała jéj najdalsze krańce. Przed kratą, w głowach grobu, ukryte pod skałami źródło, tryskało czystym, świéżym zdrojem; na białym kamieniu obok niego, stoi kubek z białéj blachy, a w poblizkości wznosi się domek angielskiego podoficera, którego straży to miejsce powierzono. Wszystko było proste, ale jakaż wzniosłość w téj prostocie! Wysokie skaliste ściany, zasłaniały pobożnego pielgrzyma od wszelkiego roztargnienia, i żaden szmer nie przerywał uroczystéj ciszy tego miejsca, które sam cesarz na ostatni spoczynek sobie wybrał.

Gdy piérwsze chwile niemego zadumania przeszły, obudziła się w nas wszystkich żądza historycznych pamiątek; zaczęliśmy wydziérać ziemi zdźbła, kamyki, korzónki, listki cyprysom; Anglicy zrozumieli nas, a starą zeschłą wiérzbę na wóz włożono. Garść złota, która z rozkazu księcia poszła w ręce starego strażnika, była hasłem do odchodu. Oddaliliśmy się bez smutku, bośmy mieli powrócić.

W godzinę późniéj, otworzono nam ostatnią rogatkę, weszliśmy na duży, wszelkim wiatrom wystawiony szczyt góry, gdzie się tylko szorstka z kończatémi włóknami trawa krzewiła; byłato smutna ozdoba tego nieprzyjaznego gruntu. Drzewa gumowe z grubém, krótkiem liściem, niedającém cienia, stały tu i ówdzie grupami. Zostawiwszy po lewéj ręce dość okazały dom z dużémi oknami i łupkiem pokryty, dążyliśmy do budynku mającego kształt folwarku. Folwarek ten byłto dawny cesarski pałac czyli stary *Longwood*, a nadmieniony piękny dom, był nowy *Longwood!*

Dnia 5. maja 1821 r., na cztéry godzin przed śmiercią cesarza, weszło do jego pokoju razem dwie osób; jedna z nich przyniosła mu klucz do nowego mieszkania; druga zapewne na ostatnie jego mieszkanie, miarę brać przyszła....

Pozsiadawszy z koni, stanęliśmy przed domem, który się już w gruzy walił. Na wielu miejscach były mury porozpadane, a u okien już szyb nie było. Po trzech stopniach weszliśmy przez werandę do budynku. *Cyceronem* naszym był pan Marchand, który w tém miejscu sześć lat, to jest tak długo jak Napoleon, przebywał.

Piérwszy pokój był z początku salą bilarową, a potém obrócono go na pokój, w którym osoby chcące mieć posłuchanie, czekały. Przez pięć okien wpadało weń światło. Po lewéj ręce ode drzwi przy wnijściu, spostrzegliśmy atramentem zbryzgany stolik z jodłowego drzewa, a na stoliku dużą książkę, w którą pielgrzymi swoje imiona wpisywali. Wszystkie krawędzie drewnianego kominka były przez pielgrzymów połupane i porznięte, a na ścianach było pełno powyrzynanych lub napisanych imion. Naprzeciw wnijścia otwiérały się drzwi do sali, w któréj cesarz umarł.

Prosto naprzeciw śmiertelnego łoża, pewien młynarz, dzierżawca *Longwoodu,* młyn postawił! Spojrzałem na pana Las Casesa, i spostrzegłem, jak on zaléwając się rzewnémi łzami, z pokoju wyszedł.

Jadalnia o jedném oknie, zaprowadziła nas po lewéj ręce do biblijoteki — nie ujrzeliśmy tam nic, jak tylko porozpadane i napisami okryte mury. Wróciliśmy do jadalni; potém pan Marchand otworzywszy drzwi inne, rzekł: »W tém miejscu widzicie wpanowie sypialnię i pracownię Napoleona.« Weszliśmy tam i stanęliśmy jak piorunem rażeni; ujrzeliśmy się w stajni — co większa w stajni z żłobem i gnojem! Gnój leżał w miejscu, gdzie Napoleon zwykle spoczywał; żłób umieszczono tam, gdzie pisał i dyktował swoje bitwy we Włoszech i Egipcie! Szukaliśmy wzrokiem naszych angielskich towarzyszy; lecz nie było ich; wstyd, który im zaszczyt

przynosi, zatrzymał ich przy wnijściu do *Longwoodu:* niech im to Bóg nagrodzi!

Gdyby *Longwood* do mnie należał, byłbym go jako drogą relikwiję zachował; żadna zmiana powietrza, żadna zuchwała ręka ani tego miejsca uszkodzić, ani znieważyćby nie śmiała. A wy oddaliście je za licha garść groszy lada komu w powszedny, kupiecki użytek!

Spieszyliśmy się opuścić miejsce, którego widok tak żałośne obudzał w nas uczucia. Kilka chwil wystarczyło do przejrzenia budynków pobocznych, w których niegdyś jenerałowie: Bertrand, Montholon, Gourgaud i hrabia Las Cases przebywali. Wyznać trzeba, iż francuzcy nasi włościanie, prawie takież same mają pomieszkania.

Teraz wszystkośmy już zwidzili, nawet on ogródek, który sam cesarz założył. Gruba mgła, zapowiadająca zwykle wielką ulewę, skłoniła Jego król. Mość dać znak do wyruszenia, jakoż chętnie opuściliśmy tę nagą górę, gdzie gorący upał z mroźnym wiatrem na przemiany panuje, i gdzie średni stopień temperatury jest rzeczą niesłychaną. W godzinę póżniéj dostaliśmy się do *James-Town.* W tém miejscu dla księcia, jego orszaku i dla wielu oficerów angielskich, zastawiono obiad na czterdzieści osób.

We dwa dni późniéj, w niedzielę, po odprawionéj mszy świętéj, poszedłem z panem Hernoux, dla zrobienia skromnéj wycieczki po téj wyspie. W *James-Town* zdziwiła mnie tą razą powszechna cisza głęboka; ani człowieka nie było na ulicy; w domu na klucz zamkniętym, czytał każdy w gronie swéj rodziny Pismo Święte, i ani gry ani biesiady nie przerywały dnia świętego. Ach, jakże inaczéj niż my katolicy obchodzi Anglik *Sabat* pański! Myśl ta zasmuciła mnie i z piersi moich wymusiła westchnienie.

Przeszliśmy przez środek miasta, a potém na los szczęścia puściliśmy się na wysoką wzgórzystość. Wkrótce zwrócił na siebie nasze uwagę schludny w przyjemnym ogrodzie położony dóm, a co większa, spaniały wodospad, który z ogromnéj, nad domem panującéj skały na dół spadając, odbitym odgłosem swoim jakąś smętność, jakąś żałość oznajmiał.

Cóż było w tém miejscu? Pastérz chiński chodzący za trzodą kóz, odpowiedział nam lakonicznie: »Briars.« Więc Briars stał przed nami, to piérwsze pomieszkanie cesarza, gdzie przeżył kilka miesięcy w czasie, gdy o pewniejsze gniazdo dla tego orła się starano!

Jedynym najgodniejszym przybytkiem dla Napoleona na wyspie Świętéj Heleny był *Plantation-House.* Ale ponieważ nie jest w zwyczaju, aby strażnik więzienia odstępował swego miejsca więźniowi, dla tego o inne pomieszkanie się postarano. Briars był za mały; lecz go można było powiększyć; atoli Briars leżał za blizko bramy *James-Town;* okaz sympatyj dusz tkliwych, szlachetnych, mógłby tam był echo obudzić! *Longwood* zaś oddalony był o dwie *lieues* i łatwo dozór nad nim mieć było można; dla tego *Longwood* wybrano.

Chciałem jeszcze dokładnie zwidzić nowy *Longwood*, któremu za piérwszym mym pobytem ledwie z powiérzchowności się przypatrzyłem; pozostał mi także do zwidzenia dóm wielkiego marszałka; lecz dészcz lunął strumieniem, schroniłem się na chwilę pod dąb, który swémi konarami nieraz więźnia osłaniał! Za mną wznosił się wał z ziemi, który on dla zasłonienia od natarczywych wiatrów wysypać kazał; część tego licho ubitego wału, już się była usunęła.

Droga do *Longwoodu* jest przykra; ale powrót z tamtąd jest łatwy i wygodny; Przeszliśmy bardzo prędko przestrzeń, która ten punkt z doliną grobu rozdziela. Pomimo że była mgła wielka i ulewa nawalna, towarzysz mój niemający być przy wydobyciu trumny, chciał jeszcze raz zwidzić grób i pomodlić się na nim. Stanawszy na tém uroczystém miejscu, modliłem się z nim razem; z tamtąd wróciliśmy się w milczeniu naszą drogą.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 9. i obejmuje: 1) O wyradzaniu się zboża i kartofli. 2) O pastwiskach. 3) Gospodarstwo gorzelniane. 4) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków, ogłoszone przez Edwarda hrabię Raczyńskiego. (Ciąg dalszy.)

Numer 5. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego pr. Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Niewiérz, nie będziesz zdradzony. (Powiastka). 2) Piosnka życia pr. J. D. 3) Podstęp.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt ósmy opuścił prasę dnia 4. marca roku bieżącego.

Wydawanych przez Kajetana Jabłońskiego *Podpisów i wzorów pism sławnych w Polsce osób*, i t. d. wyszedł zeszyt trzeci i zawiera czterdzieści podpisów z krótkiémi biografijami.

Athenaeum, pismo poświęcone historyi, literaturze, sztukom, krytyce i t. d.; wydawca J. J. Kraszewski, Wilno 1841 str. 208. Mamy przed sobą tom piérwszy tego pisma, obejmujący historyją, literaturę, sztuki i rozmaitości. W piérwszym oddziale ciekawą lubo nienajpochlebniejszą dla niektórych ówczasowych osób jest *Elekcyja Michała Wiśniowieckiego*, z pamiętników hr. Chavagnac. Oddział literatury mieści piękny ustęp ze *Stanicy Hulajpolskiej*, romansu E. Tarszy (M. Grabowskiego), którego właśnie wyszły już trzy tomy; opis *Białej na Podlasiu*, przez wydawcę; i ułamek z poematu nowo-odkrytego poety H. Lipskiego: *Wirginia*,

napisanego r. 1652 a dotąd niedrukowanego. Zajmujący jest artykuł wydawcy: *Spojrzenie na dzisiejszą literaturę polską*, skréślony ze znajomością rzeczy, trafnym sądem i widoczną a tak szlachetną chęcią ujrzenia jak największych w krajowem piśmiennictwie postępów. To co o naszéj prowincyi w tym względzie powiedziano, smutną niestety ale rzeczywistą jest prawdą. — Tom drugi *Athenaeum* także już prasę opuścił, a przygotowane do druku tomy 3ci, 4ty i 5ty mieścić mają artykuły H. Rzewuskiego, M. Grabowskiego, A. Przezdzieckiego, S. Konopackiego, E. Izopolskiego i t. p.; zaś z utworów samego wydawcy wyjmki z jego nowego dramatu *Jan z Nepomuk.* — Nie mamy słów dosyć do podziękowania szanownemu wydawcy za tyle różnorodnych prac i przedsięwzięć, dla dobra literatury podjętych. Oto znowu pisma publiczne donoszą z Wilna o nowo-wyszłym płodzie jego: *Szatan i kobieta. Fantazyja dramatyczna w XI. nocach.* S. J.

Towarzystwo naukowe krakowskie z Uniwersytetem jagiellońskim połączone, odbyło na pamiątkę rocznicy założenia swego, dnia 25go lutego 1841 r. posiedzenie publiczne, które Józef Brodowicz, rektor Uniwersytetu i prezes Towarzystwa naukowego stósowną przemową zagaił i złożył sprawozdanie z prac Towarzystwa, w roku upłynionym dokonanych. Fryderyk Hechel, M. Dr. i profesor, zakończył toż posiedzenie odczytaniem rozprawy: *O potrzebie i użyteczności policyi lekarskiéj.*

P. Wojcicki po oddaniu do druku dzieła swego: *O teatrze polskim*, zajmuje się obecnie wykonaniem *Zarysów domowych.* W tym roku wyjdą w Warszawie obadwa dzieła te w 5 lub 6 tomach. — W Wilnie nowa autorka występuje, p. C. z Hofmejstrów Jahołkowska, i drukuje właśnie romans w trzech tomach: *Eugenija i Edgar, czyli niektóre wypadki wzięte z buntu Chmielnickiego.*

Warszawa zaczęła rok 1841 następnémi Gazetami treści politycznéj: *Rządową, Kuryjerem Warszawskim, Gazetą Warszawską, Codzienną i Poranną.* — Dzienniki literackie i pseudo-literackie, są tam obecnie następne: *Bibliјoteka, Przegląd Warszawski, Piśmiennictwo krajowe, Ziemianin, Sylwan, Wiadomości handlowe i przemysłowe, Wieniec, Statek parowy* i wydawana przez płeć piękną *Mozaika Warszawska.*

Na początku miesiąca marca r. b. wyjdzie z druku w Wilnie dzieło pod tytułem: *Wiadomości bijograficzne i literackie o uczonych Żmudzinach, jako i o tych, którzy z innych prowincyj będąc rodem, znacznie się przyczynili do oświecenia na Żmudzi*, przez ks. Ludwika Adama Jucewicza. Dzieło to składa się ze dwiestu prawie bijografij.

Antoni Kątski, wydał w Paryżu *Album muzyczne na fortepijan*, o którém znawcy bardzo zaszczytnie wspominają.

W Guberniјach Królestwa Polskiego, prócz Warszawy, jest teraz 8 podróżujących towarzystw scenicznych, przedstawiających widowiska w teatrach na prędce i jak możność dozwala urządzonych; w tych miesiącach istnieją: W Suwałkach pod zarządem JP. Izabelli Górskiéj; w Lublinie JP. Papiołka; w Radomiu JP. Okońskiego; w Kielcach JP. Stobińskiego; w Piotrkowie JP. Raszewskiego; w Łęczycy JP. Łozińskiego; w Lipnie JP. Nowińskiego; w Sielcach JP. Moszyńskiego; a w Krakowie utrzymuje się JP. Chełchowski.

Panna Mars, która niezadługo siedmdziesiąty rok ukończy, zawsze jeszcze z francuzką sceną i z ulubionémi młodémi rolami swémi rozłączyć się nie może. Przed dziesięcią miesiącami oświadczyła wprawdzie, iż za rok ze sceną się rozstanie. Ale że o stałém przedsięwzięciu jéj, ciągle jeszcze powątpiewano, dla tego przed niedawnym czasem jeden z złośliwych widzów, napomniał ją widoczném *Memento mori.* Grała ona w *Théâtre français* w Paryżu w »Mizantropie« Moliera, swą ulubioną rolę Celimeny, to jest: przedstawiała żywą, dowcipną, powabną młodą damę, która wszystkich próżniaków dworskich w około siebie zgromadza. Panna Mars w téj roli przewyższyła sama siebie, i oklaskami okrytą została. Po skończonéj sztuce spadły wieńce na scenę. Jeden z aktorów będąc w porozumieniu, podniósł wieniec na pół czarny a na pół biały—był to wieniec śmiertelny. Pomimo to wszystko, wielka ta artystka nie zemdlała i owszem podziękowała publiczności, jak gdyby nic nie zaszło, a publiczność nie wiedząca o niczém, obsypywała ją jeszcze długo oklaskami, nawet gdy już ze sceny była zeszła.

Wino z rumbarbarum, Wiljam Strone, chemik angielski, uzyskał wyłączny przywilej na robienie wina z rumbarbarum, którego nawet najdoskonalszy znawca od wina z gron rozróżnić nie zdoła.

Gorący lód. Pewien północno-amerykański okręt, który przed kilką laty zawinął do Kalkuty i zamiast balastu, przypadkiem przywiozł znaczną masę lodu, wyszedł bardzo dobrze na tym przedmiocie. Gdyż tamtejsi krajowcy przez samę ciekawość w kilku dniach wszystek lód rozkupili wykrzykując: *Burra gurram!* (bardzo gorące), i byli tego mniemania, że sobie na angielskim śkle palce popiekli.

Starodawne klejnoty. Wiadomo, iż sprzęty i klejnoty, które w grobach Etrusków znajdujemy, odznaczają się doskonałą, bardzo gustowną robotą i dla tego od wszystkich miłośników starożytności są nader poszukiwane. Mówią, że Lucyjan Bonaparte miał bardzo wielki i kosztowny zbiór klejnotów tego rodzaju, i gdy księżna Canino przed kilką laty wystąpiła w Rzymie w stroju z klejnotów etruskich, zwróciła na siebie powszechną uwagę, gdyż jéj klejnoty przechodziły wszystko, co tylko Wiedeń lub Paryż w tej mierze obecnie wyrabia, chociaż już od kilku tysięcy lat w ziemi zagrzebane były.

Puls źwiérząt. Dubois, jeden z najpierwszych lékarzy paryskich, był niedawno w towarzystwie Frydéryka Cuvier'a i Emila Rousseau w *Jardin des plantes*, dla macania ugłaskanym i dzikim źwiérzętom pulsu. Dużéj lwicy w zburzonym stanie bił puls 124 kroć na minutę, a gdy się uspokoiła, tylko 96 razy. Hyjena miała 55 pulsacyj w minucie; osmioletniemu lwu bił puls 40 razy w tymże samym czasie; u pantery bił 60 razy, a u tapira 44 razy. Dla grubéj skóry i mięsa, wszelkie doświadczenia u słonia były nadaremne. U żaby dostrzeżono 80 uderzeń pulsu w minucie, u salamandry 84, u raka 76, u konia 40, u osła 60, u psa 9, u młodéj kotki 150, a u dorosłéj myszy 120 podobnież w minucie. Tygrys, dromedar i wąż tyfon, okazały się do tych doświadczeń tak nieprzystępne, iż badacze w przyzwoitém oddaleniu stać musieli, i tylko oddechanie ich uważali.

Zwłoki Kalderona. Niedawno znaleziono przypadkiem zwłoki Don Pedra Kalderona de la Barca w Madrycie. Przy rozwalaniu spustoszałego klasztoru *San Salvador*, pod ścianą zakrystyi ukazał się pomnik, który przekonywał dostatecznie, że pod nim spoczywają zwłoki nieśmiertelnego dramatycznego poety. Szczęściem, że budowniczy przełożony nad robotnikami był światły człowiek, który natychmiast z największą ostrożnością głębiej kopać rozkazał. Inaczej bowiem grób ten byłby uległ takiemu przypadkowi, jaki spotkał grobowiec Cervantesa, który podobnież znajdował się

w klasztorze zakonnic Św. Trójcy w Madrycie, i w połowie zeszłego wieku przy rozwalaniu tegoż gmachu, zupełnie zniszczonym został. Zwłoki Kalderona przeniesiono do kościoła Atocha, który w Hiszpanii za pewien rodzaj Panteonu, poświęconego dla wielkich mężów, jest uważany, i gdzie dla nich godne miejsce w ozdobnym sarkofagu przeznaczono.

Ubranie głowy niewiast druzyjskich w Syryi, jest bardzo oryginalne. Jestto róg śrébrny, albo z miedzi platerowanej, mający półtora albo dwie stóp długości, przytwierdzony na najwyższym punkcie głowy nad czołem. Zdaje się, iż tę modę z jednorożca wzięto. Róg ten przyozdobiony jest haftem, który gwiazdy, źwiérzęta i t. p. przedstawia. Na jego końcu upięta jest z cieńkiego muszlinu zasłona, która podobnie jak spadająca firanka, wdzięki druzyjskich dam zasłania i odkrywa. Róg ten, poduszeczką i maszyneryją do głowy przymocowany, tkwi na niéj częstokroć miesiąc cały. Jestto zaiste bardzo niewygodny dla dam czepeczek nocny! Europejskie damy przeraziłyby się na widok tego modnego syryjskiego rogu; a przecież gdyby go na brzegach Sekwany noszono, damy nasze z radością by go przyjęły do swojéj toalety. Byle tylko z Paryża, a wszelka modna niedorzeczność, łatwy do nas wstęp znajdzie.

Ojciec sędzią. Od kilku lat w Belgradzie żył pewien bardzo majętny kupiec rossyjski, nazwiskiem Sakarów, którego dwóch synów w rossyjskiém wojsku służyło. Ci przyjechawszy w odwidziny do ojca, zabrali znajomość z pewnym młodym Czernogorcem, Milanem Dukowiczem, który ich o milę od Belgradu w dom swego ojca wprowadził. Stary Dukowicz, siedmiu synów, przytém urodziwa córka i niemniéj powabna przebywająca w domu siostrzenica jego, przyjęli bardzo uprzejmie młodych kawalerów, którzy tak się podobali dziewczętom, iż w krótce pomiędzy niémi miłość się wszczęła. Przypadek zdarzył, iż w nocy jeden z synów starego Dukowicza na odgłos szczęku psów, spostrzegł kilka niedźwiedzi około domu; obudził więc brata i pospieszył także do sypialni oficerów rossyjskich. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy tamże obiedwie dziéwczyny zastał. Nie namyślając się, oznajmił natychmiast ojcu i braciom, jaką hańbę zaproszeni goście domowi wyrządzili. Cała rodzina złożyła radę, przed którą czterech winowajców stawiono. Obiedwie dziéwczyny zeznały swe przewinienie, oficerowie zaś oświadczyli, że mają najuczciwsze zamiary i proszą o rękę dziewczyn. Stary Czernogorzec chciał natychmiast przywołać księdza, lecz Rossyjanie oznajmili mu, iż w téj mierze wprzódy zezwolenie ojca otrzymać muszą. »Idźcież więc«, odrzekł stary Dukowicz, »uwalniam was; ale jeżeli w przeciągu dni dwudziestu tu nie wrócicie, wtedy ja sam przyjdę po was i sprawiedliwości zadość się stanie.« Młodzi oficerowie pożegnali się, ale mając ten wypadek za zwyczajną przygodę, o niczem nie wspomnieli w Belgradzie. Z tém wszystkiém gdy dzień dwudziesty upłynął, przypomnieli sobie pogróżkę starego Czernogorcy i do swoich pułków wrócić postanowili. W dzień ich odjazdu wyprawił im ojciec świetną ucztę, aż oto pośród radości nagle otwierają się drzwi, wchodzi do pokoju stary Dukowicz z pięcią synami, a dwóch młodszych na dziedzińcu przy koniach zostaje. Silni Górale biorą w okamgnieniu obudwóch oficerów i z domu wynoszą. »Nie dotrzymaliście słowa«, rzecze stary Dukowicz, »ja mego nie złamię.« To rzekłszy, natychmiast dwaj najstarsi synowie, kładą obudwóch oficerów w poprzék na siodło i dosiadłszy koni, wszyscy piorunem pognali.—Stary Sakarów w rozpaczy postanowił sam pospieszyć za swoimi synami. Wyruszył z licznym orszakiem z Belgradu; ale krew ścięła się w żyłach jego, gdy stanął przed domem starego Dukowicza, i na wzniesionej przed bramą szubienicy ujrzał ciała obudwóch swoich synów wiszące. Pod nogami ich leżały martwe zwłoki obiedwóch dziéwczyn, którym głowy ścięto. Stary Dukowicz na żałosne jęki Rossyjanina rzekł: »Stało się zadość sprawiedliwości. Płacz i zabierz z sobą ciała twych synów; my tylko z nich skórę zatrzymamy, którą trumnę mojéj córki i siostrzenicy przykryjemy, gdyż tak prawo każe.« Sakarów udał się do Władyki z żądaniem, aby zabójcy synów jego ukarani zostali. Lecz zgromadzona rada starców oznajmiła, że w takich okolicznościach rada familijna miała prawo nietylko osądzenia ale nawet wykonania wyroku, i że stary Dukowicz przeciwko ustawom krajowym bynajmniej nie wykroczył.

Gorliwość zawiedziona. Dwóch żandarmów w okolicy *Valenciennes* zwidzało z wielką gorliwością knieję, dla przekonania się, azali jaki myśliwy na źwierzynę nie poluje. Na téj przykréj przechadzce zeszedł im cały ranek, i już zamyślali wracać do domu, aż oto nagle jeden z żandarmów spostrzegł w oddaleniu jakiegoś człowieka z strzelbą, po którym widno było, że przed nimi schronić się starał. W okamgnieniu ruszają w pogoń za nim, myśliwy umyka kłusem, żandarmy pędzą cwałem. Tak trwa niemal przez kwadrans ten nowy rodzaj polowania, nareszcie myśliwy zaczyna w biegu ustawać i zdaje się tak być znużonym, że już rąk żandarmów ujść nie zdoła. Jakoż ci dognawszy go, zaczynają zwyczajne zadawać mu pytania. Ale jakież było ich zadziwienie, gdy delinkwent miasto odpowiedzi, chwyciwszy się w okamgnieniu gałęzi, z szybkością małpy na sam szczyt drzewa włazi. »Proszę zleźć na dół?« woła jeden z żandarmów«; nie ma odpowiedzi, żandarm rozkazuje powtórnie, to samo milczenie. »Przecież wpan raz zleźć musisz, gdyż my nie ustąpimy się z tąd, aż póki wpana mieć nie będziem«, rzekł jeden z żandarmów z gniewem. Na tę pogróżkę wyjmując myśliwy z największą flegmą kawał pieczeni z tajstry i zaczyna jeść smacznie. Żandarmy na widok takiéj obojętności zniecierpliwieni, zaczęli już tracić nadzieję; jednakże trud poniesiony i pewność nagrody obudziły w nich na nowo gniew i gorliwość. Jeden z nich nie namyślając się długo, staje na ramionach swego kolegi, wdziéra się na drzewo i dostaje się do myśliwca; ten zaś nie zabiéra się bynajmniej bronić swojego miejsca. —»Napominam wpana imieniem ustaw, pokaż swój *port d'armes*« (tak się zowie kartka myśliwa, dająca wolność polowania), mówi do niego żandarm, i z tryjumfem chwyta za kołnierz myśliwca. Ten wyjmuje obojętnie swój *port d'armes* z tajstry i daje go żandarmowi. Żandarm przeczytawszy kartkę, wytrzeszcza oczy z zadziwienia i rzecze: »Wszakże wpan masz wolność polowania!«—»Nie inaczéj«, odrzekł myśliwy spokojnie. —»A czemużeś wpan u licha uciekał przed nami?«— »Alboż ja wpanom kazałem biedz za mną?«—»A czemużeś wpan wlazł na drzewo?«— »Ja czynię to każdego poranku dla mojéj rozrywki.«— »A czemużeś nam wpan wprzód o tém nie powiedział?«—»A czemużeście wpanowie o to nie pytali?« odrzekł myśliwy, i wtém jak wiewiórka skoczywszy z drzewa, pociągnął za sobą żandarma, który nie bardzo lekko uderzył sobą o ziemię. Sute śniadanie cały ten żart zakończyło.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.